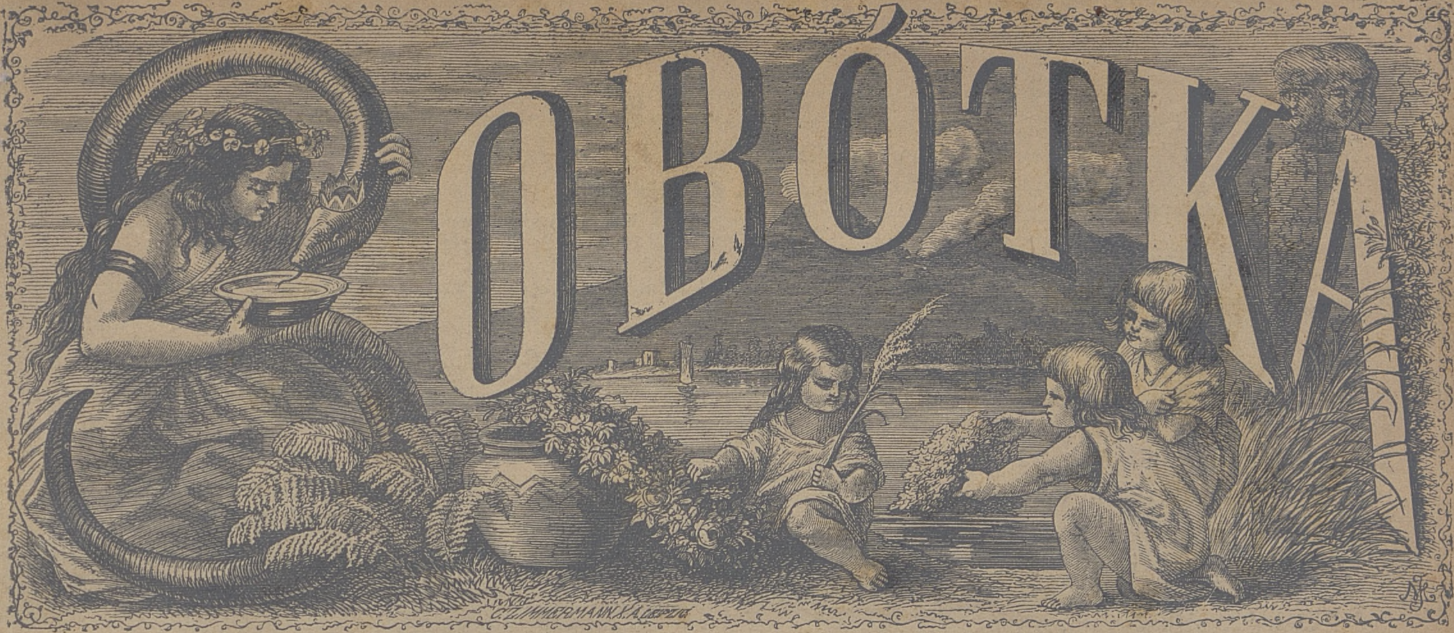


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 1. **Poznań, dnia 2 Stycznia 1869.** **Rok. I.**

SOBÓTKA.

W wiliją świętego Jana
Nad brzegami Wisły
Ognie zabłysły
I płoną przez noc całą do samego rana.
To Sobótka się pali! Praojców zwyczaje
Aż dotąd nam Krakowskie przechowują kraje. —
Lecz teraz nie święty Jan, nie upały letnie,
Ale zimy mrok,
Sam Nowy Rok,
A Sobótka nad Wartą zajaśniała świetnie
W Bolesławowym grodzie,
Chociaż po śniegu i lodzie,
I w Wielkopolskiéj krainie,
I daléj z falą Warty jéj imię popłynie.
Bo dzisiaj ciemność na świecie,
Ciężar pierś gniecie,
I pomrok osiadł na ziemi
Z myślami tęsknemi.
I słońce nam długo nie wschodzi,
Tęsknota się rodzi,
I strach przenika
Serce nędznika,
Słabiejące w łonie.
Otóż chwała Panu, chwała!
Sobótka nam zajaśniała
W Wielkopolskiéj stronie
I światło jéj ogniska
Już błyska,
Z nadzieją, że swéj ziemi dzieci
Światłem oświeci. —
Lecz gdzie światło — ogień tleje;
Błysły przeto nam nadzieje,
Że przy tém ognisku serce się ogrzeje.
A ognia potrzeba w téj chwili:
Tam na świecie mróz się sili,
Ziemia nieżywa,
Bo lód ją krępuje, jak kajdan ogniwa,
I wiatr z północy do chat naszych wieje,
A takie śniegu zawieje,
Że się niejeden zachwieje.
Lecz Sobótka i świeci i grzeje,
I grzeje i świeci,
Aby się ogrzały wszystkie biedne dzieci. —

Sobótka — to Ojców zabawa,
Po przodkach wspomnienie,
Dawnych czasów sława,
Których słabe cienie
Powieka dziś łzawa
Widzi przez stosów płomienie.
I dzisiaj Sobótka ognie swoje pali,
By z bliska i w dali
Rozbić lodów okowy.

Niechaj Rok Nowy
Zatli życie w łonie,
Niechaj nam ogień dziś płonie
W całéj mocy,
By dzień zajaśniał po burzliwéj nocy,
I słońce weszło zbawienia.
Toć wstanie ziemia z uśpienia,
I Panu wzniesie hymny dziękczynienia.
Na to Sobótka nad brzegami Warty
Zabłysła, choć mróz uparty,
By ogrzać i rozpromienić,
I sen w pełne życie zmienić.
Toć radość w sercach się rodzi.

Héj więc na Sobótkę i starzy i młodzi,
Niechaj się każdy tutaj stawi,
Bo się oświeci, ogrzeje, zabawi.

Stańmy wszyscy w około,
Dajmy sobie bratnie dłonie,
Póki Sobótki ogień nam płonie,

Śpiewajmy wesoło:
Panie użycz nam pogody,
I od wszelkiéj broń nas szkody.
Daj nam światła, daj nam ciepła,
Aby ziemia, w zimie skrzepła,
Wstała z wiosną do swobody.
Zmień te czasy strasznéj nocy,
Bo to w Twojéj tylko mocy,
By Sobótki ogień trwały
Przez czas nam się palił cały;
Przy tym ogniu daj nam Panie,
By nam błysło już zaranie.

X. S. T.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

Wszystko się dziwnie plecie,
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.

Rok 1791.

Miasto Międzybórz w województwie podolskiém, powiecie latyczowskim położone, nietylko słynęło wspomnieniami historycznemi z bardzo odległych wieków, ale i zamożnością mieszkańców, liczném zabudowaniem, przemysłem i handlem, obok pięknego położenia i dziwnie powabnych okolic. Położone przy zbiegu rzeki Bożka do Bohu, wzięło ztąd swe nazwisko. Gleba rodzajna, podolska hojny plon dawała, a puszcze i lasy ciemniały w oddali i zamykały cudny krajobraz.

Międzybórz w chwili naszéj opowieści w roku 1791 liczył do tysiąca domów, pomiędzy któremi było wiele kamienic murowanych i piętrowych: zdobił go w rynku ratusz i fara gotyckiéj budowy. Miasto wraz z okolicznemi włościami należało wówczas do księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich.

Stary, murowany zamek stał zachowany w całości, lubo o jego mury rozbijały się nieraz chmary pogaństwa. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman, którego Międzybórz był własnością, umocniwszy ten zamek, wytrzymał oblężenie od Tatarów. Daremnie tłumy zajadłe liczne szturmy przypuszczały, za każdym odparte, słały drogę trupami. Widząc niemożność zdobycia tego grodu, w nocy opuścili swe leże. W roku 1615 szczupła załoga musiała patrzeć z rozpaczą, jak nowy, srogi najazd Tatarów ogniem i mieczem pustoszył żyzne okolice Podola, jak z dymem puszczał zamożne osady, a brańców wraz z trzodami, pędził swobodnie na swoje stepy. Mały zastęp rycerstwa z murów zamku, których strzegł i bronił z załzawionemi oczyma, poglądał na dym pożogi ojczystéj ziemi, słyszał płacz i jęki nieszczęśliwych zarówno szlachty i kmieci, gnanych pletnią wraz z żonami i dziećmi w pogański jasyr.

W roku 1657 Międzybórz był świadkiem radosnego widowiska, tu bowiem doścignony niecny najezdzca Jerzy Rakoczy, książę siedmiogrodzki przez Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego, mając 30,000 wojska i 27 dział, broń złożył i podane wszystkie warunki przyjął.

Od kilkunastu dni Międzybórz nowém zawrzał życiem; nadciągnęła bowiem dywizya jenerała Kościuszki, niedawno przybyłego z Ameryki i rozłożyła się na leże w samém mieście i okolicach. Gwar, nieznany cichemu dotąd grodowi, napełniał od wschodu niemal słońca rynek, ulice i przyległe pola: jeździcy harcowali na dzielnych koniach, piechota spieszyła na poranne mustry, a wszyscy wracali ochoczo, weseli, z radosną piosnką do kwater swoich. — Była to wiosna już w pełnym rozkwicie, bo w drugiéj połowie maja, a wiosna ciepła, pełna balzamicznéj woni z rozwitych drzew i kwiecia. Międzybórz wyglądał jak wielki ogród, bo przy każdym domku, przed każdym gankiem najskromniejszego dworku, szumiały lipy, brzozy i wierzby, a w małych sadach i ogródkach bieliły się śnieżnym kwiatem pokryte grusze, wiśnie i jabłonie. Co rano równo z poranną zorzą gęsta mgła to z Bożka, to z Bohu, chmurą bałwaniąc się, nasiadała miasto i powoli to opadała w gęstych kroplach, to ulatniała się parą za pierwszym promieniem słońca. Lekko było każdéj piersi co oddychała tak świeżém powietrzem, przesiąkłém wonią kwiatów, pąków drzew i tym zapachem ziemi orzeźwiającym, jaki wydaje ta matka nasza, gdy łono jéj pruje lemieszem dłoń pracowita rólnika wiosną czy jesienią, gdy zaczyna się zielenić młodym plonem niedawno rzuconego ziarna.

Z wiosną też każdego roku powiększała się ludność Międzyborza przybyłymi z dalekich nawet okolic gośćmi. Ściągał ich gromady jeden człowiek, sławny doktór Stakenszmitt, Niemiec rodem, który osiadł stale w tém mieście i ogromną miał praktykę. Wyuczywszy się języka polskiego, jakkolwiek zarywał z niemiecka, mógł się płynnie już i zrozumiale rozmówić, co więcéj wabiło do niego szlachtę. Od wielu lat tu osiadły, wybudował sobie dom, na pochyłém wybrzeżu rzeki, gdzie pozostało jeszcze kilkadziesiąt starodrzewów. Stanowiły one gaj gęsty; w pośród nich bielił się murowany skromny domek doktora z facyatą i gankiem. Z obu skrzydeł tego dworu były kwiatowe ogródki, w których hodował troskliwie wiele ziół lekarskich, jakich sam używał i przyrządzał je u siebie, bo zwyczajem przyjętym, miał podręczną apteczkę w domu, z któréj udzielał lekarstw i wezwany w okolicę, zabierał z sobą potrzebne preparaty. — Był to człowiek już sędziwy, liczył bowiem do 60 lat z górą. Siwizna lekko przypruszyła mu głowę, a wbrew ówczesnemu zwyczajowi nie nosił peruki, ani harbejtla, ani krótkich spodni i trzewików, ale strzygł włosy krótko, buty zawdziewał z długiemi cholewami, ubierał się w surdut dostatni, a czasem we frak piaskowego koloru, z dużemi metalowemi guzikami. Do niego wtedy używał długiéj atłasowéj bronzowéj kamizelki, suto haftowanéj. Wzrostu średniego, wdzięcznego i czerstwego oblicza, zachował w całéj postaci ruchy pełne życia i rzeźwość młodzieńczą. — Domek jego, jakkolwiek szczupły na pozór, wewnątrz był rozległy. Składał się z ośmiu obszernych pokoi. Nadto przy wjeździe stały dwie oficyny, niemniéj obszerne, które zajmowali ciągle chorzy przyjezdni. Teraz doktór Stakenszmitt zajęty był ukończeniem nowego domu dla chorych swoich, który wystawił od ulicy, o piętrze z gankiem. Jakoż w ciągu dni kilku był gotowy zupełnie na przyjęcie spodziewanych gości.

Niedługo też zajechała poszóstna staroświecka kareta, za nią we trzy konie brocka kryta bryka a za niemi dwie fury ładowne sianem, słomą i owsem, oraz furgon pakowny z kucharzem i ze służbą. — Naprzeciwko nowego domu doktora Stakenszmitta, po drugiéj stronie ulicy z obszernym ogrodem stał dwór drewniany z wystającym staropolskim gankiem, na którym siedziało

kilku młodych oficerów, paląc fajki i zajętych rozmową.

Dwór ten był kwaterą jenerała Kościuszki i jego sztabu. — Siedział właśnie w swéj sypialnéj komnacie nad rozłożoną mapą Polski, zatopiony w głębokiéj zadumie, któréj nie przerwał mu nawet głośny śmiech oficerów na ganku. Zajęci pogawędką, niespodzianie usłyszawszy zawiesisty trzask bicza, spojrzeli na ulicę i ujrzeli poszóstną karetę: na wysokim koźle starego furmana, a na przedniéj parze koni pachołka zwinnego, jak zawracał na podwórze nowego domu doktora.

— A cóż to za arka Noego! zawołał rotmistrz Zaremba, wskazując na karetę, toczącą się zwolna. Pamięta przynajmniéj czasy króla Sobka!

— Patrz! patrz Józefie! krzyknął porucznik fizylerów, a toć to cały tabor ciągnie się za nią!

Karól Kniaziewicz, który, wyszedłszy z korpusu kadetów jako bombadyer, świeżo awansowany na oficera do pułku fizylerów, był w sztabie jenerała Kościuszki, zaczął się śmiać wraz z innymi coraz więcéj, gdy młody kadet Józef Raciborski, stanąwszy na ławie ganku, począł wyliczać osoby i sprzęty wychodzące z ogromnego pojazdu.

— Koledzy! uwaga! zawołał, piszcie i rachujcie! Oto najprzód wyskoczyła z arki Noego panna służąca, zgrabna sarenka: teraz wychodzi poważniejsza dama, może marcowa panna, bo ma podwiązaną twarz szafranową chusteczką, a wszystkie stare panny, mają słabość do tego koloru. Ale się mylę, to nie marczak, jeszcze pełna życia i powabu. Teraz .. cóż ja widzę? i umilkł.

Kniaziewicz zniecierpliwiony wyskoczył na ławkę i wykrzyknąwszy: Aa! Aa! także umilknął.

Nadbiegły w tę chwilę adjutant Kwaśniewski, stanąwszy przy nim, rozkrzyżował ręce i zawołał; Aa! Aa! Jak Boga kocham! Aa! Aa! Rotmistrz Zaremba pokręcając sumiastego wąsa i patrząc na nich, jak się z zachwyceniem wpatrują w jakiś przedmiot, splunąwszy, gniewnie rzekł:

— A cóż tam do milion sześćkroć stotysięcy batalionów i szwadronów djabłów widzicie, a nic nie gadacie. Stoją jak czaple z wyciągniętą szyją, otworzyli gęby jak gawrony, a milczą jak zaklęci.

— Żebym sto tysięcy djabłów połknął i szklankę wody się napił, jeżeli w życiu piękniejszą widziałem! woła Raciborski.

— To Wenus prawdziwa! mówił Kniaziewicz wzdychając.

— To Pokusa! mówił Kwaśniewski, a kładąc rękę na ramieniu Kniaziewicza! pluń na marę! bo to czarownica!

Niecierpliwy rotmistrz Zaremba, ściągnął z ławki Raciborskiego, a ujrzawszy uroczą postać młodéj dziewicy, co stała przy drzwiczkach karety, zawołał:

— Aa! Aa! do regimentu djabłów, prawda, że śliczna pokusa!

Raciborski, wskoczywszy na drugą ławkę, mówi:

— Koledzy! baczność! uwaga! Śliczna Wenus stoi — teraz mama Dobrodziejka wydobywa się z téj arki: — teraz dziewczynka z pudłem. Teraz wszyscy poszli do domu, a zajeżdża bryka brocka. Patrzcie! Jaki zawiesisty szlachcic wysiada, pewnie papuś Dobrodziéj, bo go stary hajduk wysadza. No! skończyło się widowisko! na siano, obrok i słomę i kucharza w szlafmycy niema co patrzeć.

— Teraz, koledzy, rzekł rotmistrz Zaremba, musimy się dowiedzieć co to za zacz ta familia; nam nie wypada, ale mam zręcznego trębacza, to on dokładny zda nam raport. Héj! Janusz! krzyknął na idącego ze stajni żołnierza: Tam tu coprędzéj.

Trębacz Janusz Gil, stanął wyprostowany, a salutując rotmistrza, pytał o rozkazy. Zaremba dał mu dokładne objaśnienia, czego żąda, a Gil wyruszył zaraz na zwiady. — Tymczasem jenerał Kościuszko wyszedłszy ze swego zadumania, ożywiony wesołym śmiechem swoich oficerów, zbliżył się do okna, ale nic więcéj nie ujrzał, jak tylko zajeżdżające fury i furgon na podwórze doktora. Oficerowie zasiedli znowu w ganku, oczekując na trębacza. Niedługo wraca i donosi że przyjechał pan prezes Żurowski z żoną, córką i siostrą swoją, panną: że dziś jeszcze przybędzie krewniaczka panny prezesównéj młoda i śliczna panna.

— A jak na imie pannie prezesównie? pyta Kniaziewicz.

— O tom się nie pytał, odrzekł trębacz, bo kuchtę zawołali, żeby co prędzéj obiad gotował.

Wtém Raciborski, który ciągle patrzał na dom doktora, krzyknął:

– Koledzy! rajskie wrota się otwarły i wyjrzał Kupido!

Jakoż roztwarły się drzwi na ganku pierwszego piętra i stanęło na nim siedemnastoletnie dziewczę, podziw naszych oficerów. Ale zaledwie jednêm spojrzeniem dojrzała ich stojących i wpatrujących się w nią tak ciekawie, upiekłszy raka, coprędzéj cofnęła się do pokoju.

II.

W parę tygodni późniéj, w mieszkaniu zajętém przez rodzinę prezesa Żurowskiego, w bocznym pokoju, którego okno wychodziło wprost na kwaterę jenerała Kościuszki, siedziały dwie młode dziewice. Pierwsza zbliżona więcéj do okna, często spoglądała na ganek dworu. Średniego wzrostu bruneta zwracała uwagę szczególniéj białą płcią alabastrową: na obliczu wybijały się świeże rumieńce. Nos kształtny, usta drobne, koralowe, a pod jaskółczemi brwiami oczy czarne, pełne życia i tego blasku, który czar i urok rzuca przy każdém spojrzeniu. W chwilach, gdy jéj serce uderzało mocniéj, spojrzenie dziewicy nabierało nieopisanéj wyrazistości: znający ją bliżéj do razu wyczytywali jéj myśl, jéj uczucie. Gdy smutek ją opanował, żałość ucisnęła, mgła dziwna na te oczy padała: łzawiły się jak kwiat poranną rosą, a całe oblicze, nie tracąc swéj czarownéj krasy, malowało ból serca. W ruchach jakkolwiek spokojnych i poważnych wdzięk całéj postaci pięknie odbijał. Warkocz kruczego blasku, gęsty i długi, zdobił jéj głowę: drobne nóżki lekko stąpały, mała rączka jakby utoczona. Głos dźwięczny miał w sobie szczególny powab: zdaleka nasłuchując, zdawało się, jakby śpiew jaki oddalony dolatał, bo w mowie przeciągała wyrazy zwyczajem Podolanek i Pokucianek. — Siedziała z robótką w ręku, ale była więcéj roztargnioną, a wzrok niespokojny rzucała często na ulicę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Losowanie do wojska.

(Objaśnienie ryciny.)

Do najpiękniejszych utworów zgasłego przedwcześnie artysty naszego Artura Grottgera należy serya obrazów pod tytułem Wojna, którą, jak wiadomo, na ostatniéj wystawie paryzkiéj zakupił dla swéj galeryi cesarz austryacki i która nawet jednego z poetów niemieckich do napisania pięknego komentarza natchnęła. Artysta, chcąc przedstawić oczom naszym wszystkie okropności wojny, wyprowadza na scenę fantastyczną postać wieszcza, szukającego natchnienia, któremu opiekuńczy geniusz ukazuje coraz to straszniejsze ustępy z krwawego dramatu wojny. Podajemy tu jeden z najwięcéj wzruszających obrazów téj seryi pod tytułem: Losowanie do wojska.

Wojna jak ciężka, gradowa chmura zawisła nad krajem i wybiera swe ofiary z pośród mieszkańców wiejskiego zacisza; — ślepy traf rozstrzyga tu o szczęściu i doli rodzin całych. Scena obrazu oddycha twardém życiem żołnierza i wzrok nasz spotyka same marsowe twarze synów oręża. Wśród takiego otoczenia dziwnie przejmujące sprawia wrażenie szlachetna i poetycznym



Losowanie do wojska.

Wedle obrazu A. Grottgera, zakupionego na wystawie paryzkiéj przez Cesarza austryackiego.

urokiem oblana postać młodzieńca, który stoi na przedzie i jest główną figurą obrazu. Rękę zatopił ociężale w urnie, w któréj jego los spoczywa, a na jego piękném obliczu, z którego w téj chwili, zda się, wszystka krew do serca zbiegła, czytamy jak w zwierciadle miotające nim uczucia. Był on dotychczas szczęśliwy słodkiém szczęściem rodzinnego życia. Na jego męzkiéj twarzy osiadła pewna miękkość i słodycz, rozkwitła widocznie pod ożywczym promieniem miłości i wypieszczona dłonią kochającéj matki — słodycz, któréj nawet groza téj chwili nie zdołała zetrzeć z jego czoła. Był on słońcem życia sędziwych swych rodziców i podporą ich starości, ulubieńcem swych rówienników, a na téj silnéj i dorodnéj postaci spoczywały z zachwytem oczy niejednéj wiejskiéj dziewicy, gdy przodował wesoło towarzyszom, czy to przy pracy, czy przy zabawie.

skargi, choćby cierpienie pierś rozrywało, a widno nam będzie, iż, choć ręka jego jeszcze spoczywa w urnie, serce jego już złowieszcza przeszywa pewność, że on jest wybrańcem nieszczęsnego losu, że jak kwiat, burzą wyrwany, stanie się igraszką wichrów i zamieci i będzie się tułał, aż nie padnie strzaskany na ogromném pobojowisku ofiar wojny. I już naprzód żegna się on z całém swojém szczęściem i mierzy się wstępnym bojem z boleścią, która za chwilę ma go przygnieść — cierpi, a to cierpienie silnéj i szlachetnéj duszy budzi w nas głębokie współczucie. Widzimy jasno całą potworność wojny i myśl nasza mimowolnie przenosi się w błogie czasy, w którychby szczęśliwa ludzkość zapomniała o użytku oręża.

Ale nie takie uczucia malują się na twarzy surowego komisarza wojennego, który siedzi za stołem.



Jaskinia krokodylów.

I on kochał i czekał niecierpliwie chwili, w któréj poda rękę na całe życie téj, którą jego serce wybrało. Kochał cichą rodzinną zagrodę, te pola i łany, które w pocie czoła uprawiał, te szumiące gaje i woniejące łąki, na których chłopięce swe lata przebujał wśród grona wesołych pastuszków, ten mały kościółek, którego dzwony tak miłą były dla niego muzyką. W téj cichéj wiosce zamknął on wszystkie skarby swego pracowitego żywota i myślą nawet po za nią nie wybiegł, a teraz jedna chwila ma przeciąć pasmo dni jego szczęśliwych.

Tak, bo on wyciągnie los złowróżbny! Spójrzmy na tę twarz boleśnie ściągniętą, na te oczy w dół spuszczone, na te zaciśnięte usta, na których cała energia nieugiętéj spoczęła duszy i z których nie wyjdzie jęk

Ogorzałe to i styrane trudem oblicze, ta głowa, z któréj twardy hełm starł włosy, wyraża całą szorstkość i nieubłagany rygor żołnierza. Za długo mu trwa wahanie się biednego młodzieńca, z gniewną niecierpliwością oczekuje końca, a z ust jego ma lada chwilę wybiedz opryskliwe słowo nagany. On już widać zapomniał, że serce drżeć i w trwodze tonąć może; — w twardéj jego piersi chowają się tylko uczucia obowiązku, męztwa i niezłomnego hartu. Charakterystyczna ta twarz ma niejako swoje odbicie w stojącym w głębi obrazu podkomendnym, który po wojskowemu wyprężony, oczekuje z kartą w ręku, rychło będzie mógł zapisać nowego szeregowca.

Młody oficer, który siedzi obok komisarza, opuścił w zamyśleniu głowę. Może pamięć jego ulatuje do

niedawnych jeszcze czasów, kiedy i on, wyrwany z koła rodzinnego, tak samo żegnał się z szczęśliwą przeszłością, goniąc na krwawe pole wawrzynów i chwały. Kolega jego, siedzący z drugiéj strony groźnego komisarza, zapatruje się na odbywającą się przed jego oczyma scenę z ironią człowieka, który, sam zmuszony cierpieć, cieszy się towarzyszom niedoli i z pewną złośliwą radością patrzy na ich nieszczęście. U drzwi na pół odemkniętych stoi na straży żołnierz i wzbrania ręką wejścia nieszczęśliwéj matce, która ukazuje się w cieniu. W rozpaczy załamała ręce i usiłuje wejść tam, gdzie się los ukochanego syna rozstrzyga, a gwałtowna jéj boleść znalazła — zdaje się — współczucie w powstrzymującym ją żołnierzu, gdyż twarz jego miękki przybrała wyraz i ręka jego dość łagodnie odpycha nieszczęśliwą niewiastę. Z drugiéj strony w saméj głębi widzimy niemych świadków całéj téj sceny: fantastyczne postacie poety i geniusza. Poeta widać całą duszą chłonie wzruszający ten obraz, a w oczach jego maluje się najżywsze przejęcie się tragicznością chwili. Przy nim ślicznie odbija postać geniusza z tajemniczą gwiazdką nad skronią, którego piękne, regularne rysy oddychają nieziemskim spokojem wyższych sfer mieszkańca.

z.

Jaskinia krokodylów.

(Z ryciną.)

Do niepożytych pomników chwały dawnych Egipcyan należą obok piramid, obelisków, sfinksów także i wspaniałe nekropole, czyli miasta umarłych pod ziemią, w których poddani Faraonów chowali ludzi i zwierzęta. Na szczególną uwagę między niemi zasługuje jaskinia krokodylów w Samun, do któréj się z stołecznego miasta górnego Egiptu, Siut, przez kamienistą pustynię Dakleh dochodzi. W jaskini téj znajduje się niezmierna moc krokodylów rozmaitéj wielkości, całkowite zwłoki ludzkie, ciała bez głów, porozrzucane członki, mumie ptaków, czworonogów, płazów a nawet jaj — wszystkie zaś obok siebie lub jedne na drugich ułożone między warstwami liści palmowych i po większéj części dobrze zachowane. Mumie ludzkie są starannie owinięte płatami i zazwyczaj ściśnięte między dwiema deskami. Grota sama jest bardzo przestronną, lecz rzadko odwiedzaną.

Jak się zdaje, był to cmentarz uboższéj ludności starożytnego miasta, na którego ruinach dzisiejsze Monfalut się wznosi; królowie bowiem Egipscy, jako téż kapłani i rycerze lubili nawet po śmierci otaczać się pompą i okazałością, któréj śladów w Samun nie widać.

e.

Indyjscy zmartwychwstańcy.

Wiadomo, że w Indyach jest rodzaj pokutników, którzy z rozkoszą poddają się najsroższym męczarniom i chcąc zasmakować rajskiego szczęścia, żywo się zakopują do grobu, ażeby potém zmartwychwstawać.

W Historyi oświaty w Indyach, Leopolda Orlicha czytamy opis dziwnego takiego wypadku, który się wydarzył w blizkości miasta Lahore za panowania Randszyta Sing, podczas gdy Sir Claude Wade, pełnomocnik Wschodnio-indyjskiego rządu, bawił na jego dworze. Fakir, którego miano żywcem pochować, poddał się najprzód formalnéj głodowéj kuracyi i w ostatnim czasie żył tylko mlekiem; gdy go włożono w trumnę, był tak wychudzony i słaby, że zaledwie mógł mówić. Posłuchajmy opowiadania Sir Claudiusza Wade, który był naocznym świadkiem odkopania fakira:

„Nie widziałem wprawdzie pogrzebu fakira, który się kazał na sześć tygodni pochować, gdyż przybyłem o kilka godzin za późno, ale świadectwo Randszyta Sing i innych wiarogodnych osób, nie pozwala mi ani chwili wątpić, że żaden podstęp ani oszustwo nie miało tu miejsca.

Gdy przyszła chwila odkopania, udaliśmy się z Randszytem Sing na miejsce, w którém fakir leżał pochowany. Był to mały, zupełnie odosobniony, czworoboczny budynek, znajdujący się w samym środku ogrodu pałacowego. W przytomności całego dworu zbliżyliśmy się z Randszytem do wielkich warownych drzwi, które aż pod zamek zasłaniał gruby mur z cegieł. Randszyt przekonał się, że prywatna jego pieczęć, którą sam był położył na zamku w dzień pogrzebu fakira, pozostała nienaruszoną.

On pierwszy bowiem nie wierzył w cudowne zmartwychwstanie fakira i dla większego bezpieczeństwa otoczył grobowiec ścisłą strażą przybocznéj swéj gwardyi, która przez całe sześć tygodni zmieniała się przy nim nieustannie pod dozorem wyższego oficera pałacowego.

Dopełniwszy sprawdzenia pieczęci, kazaliśmy drzwi odmurować i jeden z oficerów otworzył je na roścież; — mała ciemna izdebka ukazała się naszym oczom. Przyniesiono światło i w towarzystwie służącego fakira zstąpiliśmy z Randszytem w głąb małéj celki, znajdującéj się blisko 3 stopy pod podłogą. Tu leżał fakir w dużém drewnianém pudle, którego wieko również było zapieczętowane i zamknięte na klucz. Wielkie białe płótno, związane sznurem nad głową, zasłaniało całą jego postać, skurczoną i ściśniętą jak bożyszcze indyjskie. Gdyśmy podnieśli wieko, grzmiące wystrzały z armat rozległy się na okół i lud zaczął się cisnąć tłumnie do wnijścia, chcąc się naocznie przypatrzeć rzadkiemu widowisku zmartwychwstania. Wreszcie wszyscy zaspokoili swą ciekawość i służący fakira mógł się zająć cuceniem swego pana.

Nie odstąpiliśmy go ani na chwilę, a celka była tak ciasna, że, siedząc naprzeciw ciała fakira, dotykaliśmy go prawie rękoma. Najprzód służący wyjął ciało z trumny, położył je na wieku i zaczął zlewać cie-

płą wodą. Dla lepszéj obserwacyi kazałem mu zdjąć płótno. Nogi i ręce fakira były skurczone i sztywne, twarz pełna, głowa opadała na ramię jak u trupa. Przywołany lekarz badał serce, skronie i ręce fakira, śledząc napróżno choćby najlżejszego tętna pulsu. Tylko w mózgowéj części głowy zachowało się jeszcze trochę ciepła.

Służący ciągle zmywał ciało ciepłą wodą; wreszcie ręce i nogi zaczęły tracić sztywność i nabierać trochę życia. Randszyt i ja wzięliśmy się żwawo do tarcia zmartwiałych członków, tymczasem służący zrobił gorące ciasto z pszennéj mąki i obłożył niém czubek głowy na cal grubo. Potém wyjął z nosa i uszu wosk i bawełnę, a otworzywszy ostrzem noża mocno zaciśnięte zęby, przytrzymał lewą ręką szczęki, a prawą wyciągnął język, który mu się wyśliznął kilka razy z palców. Powieki tarliśmy kilka sekund roztopionėm masłem; — odemknęły się, ale oczy fakira były jeszcze szklanne i nieruchome.

Za trzecim okładem ciepłego ciasta na głowę, zaczęło wreszcie ciało drgać konwulsyjnie; nozdrza poruszyły się, wydając lekkie tchnienie i pot wystąpił na ciało, ale puls bił jeszcze bardzo słabo. Służący włożył fakirowi trochę roztopionego masła w usta, żeby zasilać żołądek. Wkrótce potém oczy ożywiły się, odzyskały dawniejszy swój kolor i fakir, poznawszy Randszyta, szepnął cichym głosem: „Wierzysz mi teraz?“ Randszyt Sing skinął głową i włożył nań kosztowny naszyjnik z pereł, i dwie przepyszne złote bransoletki.

Pół godziny trzeźwiliśmy fakira, aż nie odzyskał głosu; pół godziny późniéj fakir rozmawiał ze mną i z otaczającemi go osobami słabym ale zrozumiałym głosem.“

Inny podobny wypadek wydarzył się w Jessamir r. 1835. Młodego jakiegoś Indyanina pochowano na cztery tygodnie w kamiennym grobowcu. Ciało jego, zaszyte w płótno, ułożono w grobie tak, że kolana dotykały się podbródka, nogi dolnéj części brzucha, a ręce spoczywały na piersiach. Grób sam był murowany i przykryty dwoma ciężkiemi płytami kamiennemi.

1go kwietnia wydobyto Indyanina z ziemi zupełnie martwego, ale w krótkim czasie przywrócono go do życia; zaczął mówić i oświadczył, że gotów przejść drugą podobną próbę i pozostać w grobie kilka miesięcy.

Powiadał późniéj, że od młodości już zadawał sobie różne umartwienia, a szczególniéj ćwiczył się w zatrzymywaniu oddechu, przyczém zamykał usta i przyciskał językiem wewnętrzny otwór nosa.

Jakiś angielski oficer w Puszkar trzymał go raz dwa tygodnie w swoim pokoju zawieszonego u sufitu w drewnianém pudle, żeby go mieć ciągle na oku.

z.

Sobotnia pogadanka.

Zarzucono niedawno naszéj Wielkopolsce, że do gastronomii daleko więcéj ma zmysłu, niż do sztuk pięknych, że, jeźli w ogóle potrafi się zapalić do czegoś szlachetniejszego, niż zupa żółwiowa lub świeże ostrzygi, to ideałem tym jest co najwięcéj niesmaczna jota lub inna jaka wychowanka suchéj gramatyki. Tymczasem sprawiedliwy sędzia przyzna, że nie wszystkie Muzy wygnane są z téj „polskiéj Beocyi.“ Jeżeli bowiem poezya żywi się w niéj tylko lirycznym obroczkiem, jeżeli malarstwo zaledwie od czasu do czasu reprezentowane je t przez unikaty, a snycerstwo bodaj ten i ów zna z imienia — to przynajmniéj muzyka cieszy się u nas dość rozpowszechnionym kultem.

Naturalnie broń Boże przypuszczać, iżbyśmy Chopinów lub Lipińskich mieli na zawołanie. Mowa tu tylko o zwyczajnych uprawiaczach boskiego kunsztu, którzy, nie ubiegając się o godność kapłanów Apollinowych, sprawują skromniejsze funkcye Lewitów sztuki. I u nas zatém huczą fortepiany harmonijnym grzmotem akordów — czworostrunne deszczułki kwilą rzewne tony a jedwabne, wypieszczone dyszkanciki pieją słowicze sola, lub z bratnią drużyną altów, tenorów i basów zlewają się w pieśni choralne.

Lubowników i lubowniczek muzyki nigdy u nas nie brakło, a nawet prawdziwych wirtuozów płci żeńskiéj i męzkiéj wydawają niekiedy nadwarteńskie niwy. Talenta te jednakże błyszczą tylko w ustronnéj zaciszy domowych komnat, ryzykując się czasami na szerszą arenę salonów. Ogół znałby je zaledwie z posłuchu, gdyby pewien Święty — patron wstydliwego ubóstwa, nie wymyślił był dla nich osobnych igrzysk, na których mają sposobność zbierać publiczne wawrzyny. Igrzyskami temi są koncerta amatorskie, które towarzystwo damskie św. Wincentego corocznie zimową porą w Poznaniu urządza, widząc u nich złotodajną minę dla swoich finansów.

Czém symboliczne uderzenie mieczem przez cesarza było niegdyś dla średniowiecznych rycerzy lub wystrzyżenie tonsurki dla mnicha, tém pierwszy występ na wielkiéj sali Bazaru jest dla naszych pianistek i miłośniczek śpiewu. On dopiero nadaje im artystyczne ostrogi i wyróżnia z grona wątpliwych talentów, o których surowym znawcom wolno jeszcze czasami powiedzieć z przekąsem ze grają jak Liszt — tylko nie tak dobrze.

W zeszłym tygodniu mieliśmy właśnie jedno z takich igrzysk muzykalnych, na którém cały pułk nowozaciężnych artystów i artystek poszedł po pierwszy raz w ogień koncertowy. Dostarczyły nam ich szczątki śpiewackiego spółku, który — związawszy się przed półrokiem w czasie, gdy słowiki różom jeszcze nóciły — przez kilka tygodni z uciesznemi temi ptaszkami o lepsze śpiewał, ażeby wraz z niemi na św. Wit nagle zrobić cyt! Czy i jemu słanie gniazdka stało się przeszkodą w wywodzeniu dalszych treli, nie wiadomo; dość że przycichł i Bóg wie, jak długo trwałoby jego milczenie, gdyby nie św. Wincenty, który słowiczkowi na nowo gardziułko wysmarował i zaczął mu nad swą skarbonką tkliwie śpiewać, ażby złoty deszczyk nie lunął na owo wiecznie wysychające sito Danaid.

Słowik nie zawiódł nadziei świętego, napełniwszy aż po brzegi wielką salę Bazaru, ciekawemi śpiewu ptaszkami, z których każdy, choć jedno srebrne piórko musiał przy wejściu zostawić. Zebranie publiczności było rzeczywiście świetne. O strojach wykwintnych nie warto dopiero wspominać, bo nasze panie zwykły zawsze w takich ra-

zach błyszczeć toaletą, lecz co tam był za dobór piękności! Trzeba było zawołać tego Anglika, co to, spotykając w Warszawie same beautées entre deux âges, żałował, że albo zapóźno, albo zawcześnie przybył oglądać tyle sławione Polki. Tu nabrałby lepszego o nich wyobrażenia, znajdując obok piękności, które „pod lat niewieścich schodzą już południe", cudnie zakwitające pączki i centofolie, w całéj rozwinięte pełni.

Koncert zaczął się godzinę późniéj jak był zapowiedziany, z powodu braku kilku przyborów, które w ostatniéj dopiero chwili zaczęli znosić garsony, wyglądający w swych szarych kurtkach, jak wróble między czeredą wystrojonych gilów i sikorek. Przewłokę tę jednakże chętnie wszyscy darowali, bo wzajemne lustrowanie się najzupełniéj próżną chwilę zapełniło. — Koncert sam powiódł się bardzo dobrze i zjednał wszystkim szanownym amatorom rzęsiste oklaski. Zachęceni tem powodzeniem koncertanci postanowili, zawiązać stałe Towarzystwo śpiewów, które prawdopodobnie będzie żywotniejszém niż dawniejsze związki.

Odnośna uchwała zapadła na herbatce, którą dostojne szafarki św. Wincentego wyprawiły amatorom w niedzielę na małéj salce Bazaru. Pora adwentowa nie dozwoliła herbatki téj zmienić w „tańczącą" mimo głośnych narzekań młodzieży i cichych westchnień panieńskich. Co najgorsza, że nawet o sprowadzeniu fortepianu nie pomyślano poprzednio! Biedne grono śpiewaków, znalazło się w skutek tego w położeniu armii; która stojąc w szyku bojowym, spostrzega nagle, iż dowódzcy zapomnieli zaopatrzyć rozdzielić nabojów.

Wszystkie piękne chóry, sola i kwartety, które miano in petto, spaliłyby się niechybnie na panewce, gdyby szczęściem komuś nie przyszło na myśl, że o kilka ztąd pokojów stoi w kącie zapomniany fortepian Koła Towarzyskiego. Ktoś porównał go już do zaklętéj kolumny Memnona, bo tak jak ów egipski kolos daje się tylko wybranym słyszeć uszom — podobno aż dwa razy przez jedno triennium! Teraz nadarzyła się sposobność zbudzenia go z przydługiéj drzemki. Pchnięto zatém deputacyą do dyrekcyi Kółka z prośbą o łaskawe użyczenie na kilka godzin dźwięko-dajnego instrumentu. Lecz poselstwo to z kwitkiem wróciło, bo statuta Towarzystwa nie przewidziały podobnych sąsiedzkich przysług i zresztą przenoszenie ogromnego meblu mogłoby na chwilę zakłócić spokój preferansistom, otaczającym zielone stoliczki.

Odmowa ta zmartwiła naszych przyjaciół muzyki i zniewoliła szukać rozrywki w banalnych grach towarzyskich. Lecz gdy się każdy, jak może, niewinnemi bawi figielkami, roztwierają się nagle drzwi z łoskotem i wśród ogólnego zdziwienia wpływa na barkach garsonów fortepian kółkowy na salę. Spragnione muzyki towarzystwo powitało go z tym samym zapałem, z jakim wojsko greckie przyjmowało Ulissesa, gdy z wykradzioném Troi palladium powracał nad ranem do obozu. Podobno i tu ktoś fortelem itakijskiego bohatera wykradł fortepian tak zgrabnie, że Trojanie dopiero po niewczasie stratę spostrzegli. Snać król Priamus udał się już był na spoczynek, bo inaczéj i sam Ulisses nicby nie uzyskał. — Czy ten figiel wywoła jakie nieporozumienia, okaże najbliższa przyszłość.

XX.

ROZMAITOSCI.

Prawdziwa królowa na scenie.

Marya Antonina lubiła tak namiętnie teatr, że brała lekcye deklamacyi od sławnego aktora Dugazon i występowała nieraz sama na scenie, urządziwszy w Trianon mały amatorski teatr, do którego należały pierwsze osoby dworu królewskiego. Cała rodzina królewska podzielała to zamiłowanie teatru Maryi Antoniny, z wyjątkiem Ludwika XVI, który stronił od wszystkich hucznych i głośnych zabaw, i najchętniéj przebywał w swoim warsztacie ślusarskim z piłą i młotkiem w ręku. Kilka razy nawet próbował przeszkodzić tym teatralnym przedstawieniom żony, ale Marya Antonina miała możnych sprzymierzeńców we wszystkich braciach i siostrach królewskich, a przeciw takiéj koalicyi trudno było walczyć.

Jednego dnia miało się odbyć w Trianon przedstawienie komedyi: „Król i dzierżawca." Mężowi przeznaczyła królowa jedną z pierwszych ról, ale odrzucił ją z niechęcią i zniecierpliwiony do żywego powiedział żonie, że wszystkich sił dołoży, aby sztuka przepadła i wszyscy aktorowie, a na samem czele królowa, surową odebrali naganę. Ale Marya Antonina nie ulękła się bynajmniéj téj groźby. Ludwik tymczasem udał się do swego stronnictwa i kilku zaufanych przyjaciół przyrzekło mu taki straszliwy zrobić łoskot, gdy królowa pokaże się na scenie, że będzie musiała ustąpić za kulisy.

W dzień przedstawienia teatr był przepełniony; sam kwiat arystokratycznego świata przybył podziwiać swoję królowę. Kurtyna się podnosi, Marya Antonina występuje na scenę i zaczyna recytować rolę, gdy nagle przeraźliwe sykanie i pukanie rozległo się w jednéj części teatru. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę i zobaczono z podziwieniem, że sam król był sprawcą tego hałasu. Sykał i pukał nieustannie, zachęcając znakami otaczających go widzów, żeby go naśladowali. Ale napróżno! wszyscy sprzymierzeńcy opuścili go, po chwili musiał ze wstydem położyć koniec swej hałaśliwéj demonstracyi i cichutko usiąść na miejscu. Natomiast huczne oklaski rozległy się w całym teatrze na cześć królowéj, która przez cały czas tego intermezzo stała spokojnie na scenie, z uśmiechem na ustach i bez zakłopotania daléj mówić zaczęła, skoro się wszystko uciszyło. Aż do samego końca sztuki zachwycała wszystkich czarującą swą grą, i nawet Ludwik, zapomniawszy o swém uprzedzeniu, dał jéj grzmiące brawo wraz z całem zgromadzeniem widzów.

Po przedstawieniu Marya Antonina przystąpiła do męża, chcąc go przeprosić w imieniu jego przyjaciół, którzy za jéj namową nie dotrzymali danego mu przyrzeczenia, ale król zachwycony mistrzowskiém jéj wystąpieniem, zawołał z zapałem:

„Pani jesteś królową wszystkich aktorek mojego państwa!"

Od tego czasu Ludwik nie opuścił żadnego przedstawienia, ile razy żona jego należała do występujących aktorów.

Zdania moralne.

Nie zje żaba wołu, choć na niego gębę otworzy.

Nikt z kałuży czystéj wody naczerpać nie może.

Wilk łatwo kozę uprosi.

I najbieglejszy kucharz z czystéj wody nic nie wywarzy.

I małe robaczki olbrzymie dęby roztoczą i do upadku przywodzą.

Zagadka.

Jestem ptakiem wysokim, przewyższam bociana,
Odznaczam się czujnością i donośnym krzykiem.
Ma piękna, wzniosła postać wszystkim ludziom znana,
Lecz przytem jestem miastem w Śląsku pod Rybnikiem.
A w końcu dla ludzkiéj wygody
Dosyć się nawyciągam codzień z studni wody.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.